



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

Z DNI SMUTKU.

O, dajcie usta wszystkim krzywdom ziemi,
I wszystkim nędzom i tęsknotom ducha—
I niech się niebo drzwiami błękitnymi
Otworzy—i Bóg niech słucho!...

Czy Tobie, Boże, imię „grom i burza“,
Że świat Twój w ognjach się nurza?

Czy Tobie, Boże, imię „błyskawica“,
Że mu miecz nagi przyświeca?

Czy Tobie imię „śmierć i wytopienie“,
Że się krwi leją strumienie?...

Czy ziemia, w chwili gniewu nawałnicy,
Iskrą ci przysła z zrenicy?

Czy, jeśli bóstwo boleść uczuć może,
Łzą z oczu spadła Ci, Boże?...

Czy, gdyś ją cisnął w wir światów bez końca,
Smutkiem zciemniała twarz słońca?

Czy padł cień zgrozy w nieskończoność jasną,
Gdyś wydziedziczył myśl własną?

Czemuż, o Boże, prawdzie nie dasz krzyku,
Głośnego w każdym języku?...

Czemu, gdy forma zna niezmiennie prawo,
Duch wiedzę zdobywa krwawo?

Czemu wpatrzony w ideał daleki,
Orłem nie leca doń wieki?

Czemu to pełne boleści wahanie
Na drodze dobra, o Panie?
Dlaczego ludzkość ustaje, powraca,
Zdobyte plony zatracą,
I całość prawdy rozbiwszy w okruchy,
Łamie pojęcia i duchy?

Czemu jej, Boże, nie powiesz: „mdlejąca
Z pragnienia, pij światło słońca“.
Czemu pozwalasz, by w zmierzchy dziejowej,
Szła, krwawiąc piersi i głowę?...

Jeśli jest myślą Twą i Ciebie sięga,—
Gdzie jej świętość i potęga?

Jeśli Ci obcą—czemu tak stęskniona?
Królową—gdzie jej korona?

Branką, przykutą do wozu Twej chwały?—
Czemu w niej duch taki śmiały?...

Wysłaną w nocy po prawdę pątnicą?—
Gdzie gwiazdy, które jej świecą?

Dech tracąc, ludzkość, jak nurek zapada
W otchłań, gdzie perła lśni błada,

I tysiąc śmierci widzi w tej głębinie...
Ah, czy ze skarbem wypłyne?...

Ludzkość się zrywa, jak ptak zponad ziemi
Skrzydłami skrzepowanemi...

Przed nią dzień jasny i słońce nowych zorze...
Lecz—czy doleci, o Boże?

Marya Konopnicka.

DOM DLA KOBIET

w Nowym-Yorku.

Pół roku temu otwartym został w Nowym-Yorku *Dom dla kobiet*, od nazwiska właściciela swego zwany *Hotelem Stewarta*. O jego wspaniałości, wykwiśniętym komforcie i zastosowaniu wszelkich nowoczesnych, przez maszyny następczonych ułatwień życia, pisaliśmy w swoim czasie, skoro plan gmachu ogłoszono i budowa rozpoczęta została. Natchnienie tu działające było niewątpliwie poczciwym i filantropijnym; kobieta, która bez rodzinnego oparcia w wielkiem mieście o własnych siłach stać musi, a bogatą panią nie jest, spotyka się z mnóstwem trudności, trosk, zmartwień, narażona jest na mnóstwo rzeczy bolesnych, lub braków rozmaitych: przemysłowiec milionowo bogaty postanowił zapobiedz temu, stworzyć niby ul ogromny, któryby się zapełnił wygodnie rojem pracowitym, bo kobiety pracujące miano tu głównie na celu. Śmierć nie dozwoliła Stewartowi myśli swej do końca przeprowadzić, ale zlecił ją w testamencie żonie i przyjacielowi; jakoż gmach, według planu wykończony, stanął i otworzono go dnia 1 Kwietnia bieżącego roku, a nietylko amerykańska prasa zajęła się nim niezmiernie, bo jak wiemy, odpowiadał ważnej potrzebie społecznej, pomagał do rozwiązania kwestyi pracy kobiecej w jednym z tych jej punktów, gdzie ekonomiczna strona z moralną się styka. Zlustrowano budynek od piwnic do strychu, opisując z zachwytem, jakie to cuda nowoczesny architekt stworzyć może: jak dom ten przeogromny ogrzewa się kaloryferami, oświetla gazem, ma na każdym piętrze, w każdym pokoju sypialnym wodę zimną i ciepłą; jak wzdłuż py-

sznych kurytarzy kwitną kwiaty, biją fontanny. Maszyny dźwigały ciężary, maszyny krajały chleb, myły naczyń, prały bieliznę, która zimą czy latem mogła być sucha w trzy minuty po wyjęciu z wody. Kąpiel można było mieć rano i wieczorem, światła nie brakło w kąciu żadnym, a sprawozdanie wykazywało, że mimo tej hojności zyskiwano na wodzie i gazie dziesięć tysięcy dolarów rocznie, dlatego, że gmach ogromny mógł posiadać własne swe wodociągi i fabrykę gazu. Bardzo obita i zdrowa, pożywna kuchnia była zarazem kuchnią smakoszów, bo jeden z najświetniejszych kucharzy Nowego-Yorku dostał zarząd nad nią. Jadano trzy razy dziennie, a choć do pierwszego śniadania podawano parę półmisków mięsa lub ryb, osoby, które nie mogły znaleźć się na miejscu w czasie oznaczonym na drugie śniadanie, dostawały, wychodząc rano, zimne mięsna i paszety w koszyczek; a to wszystko za 6 dolarów tygodniowo, co znaczy mniej więcej zł. 50 za mieszkanie z usługą, stół, pranie, za ogród do spaceru, sałę do gimnastyki, bibliotekę bardzo doborową, fortepiany dla osób muzycznych, pracownię do rysunków i malarstwa, salony do przyjęcia gości i bawialnie do przebywania wspólnego, urządzone z wykwintem pierwszorzędných hoteli — wszystko prawie co zamarzyć można. Na amerykańskie ceny było to w stosunku do wygod i dogodności pod ręką zgromadzonych, tanio, tanio bardzo, tem bardziej, że osoby mające sypialnie na piętrach wyższych, płaciły nieco mniej; to też prasa amerykańska, część angielskiej i niemieckiej, unosiła się nad tem, co-to za cuda tworzyć może liczbą, co otrzymać można przez zjednoczenie, współkę — przez legion! Dom miał mieszkań na 1,000 osób; zanim jeszcze otworzonym został, już na wiarę tego, co pisano, zgłosiła się ustnie i piśmiennie bardzo znaczna liczba kobiet; hotel zatem mógłby być odrazu zostać niemal całkowicie zaludnionym; że przeciw postanowiono przyjmować tylko osoby szanowne, których przeszłość i zajęcia teraźniejsze byłoby przez złożone dowody znanem, oddalono wiele żądań; niemniej i tak początek zapowiadał się świetnie. Ale, niestety! był to początek jedynie; wkrótce bowiem liczba mieszkank spadła do 50, i obecnie dom dla kobiet już nie istnieje, a hotel Stewarta, odpowiednio przerobiony, miał zostać dnia 1 Października otwartym dla publiczności zwykłej.

Przedsięwzięcie tak na pozór dobrze obmyślane, okazało się więc chybnem, co przeciw nie obezszło się bez polemiki, bez zarzutów głośno sobie czynionych po dziennikach przez obie interesowane strony: przez kobiety i przez wykonawcę ostatniej woli Stewarta, sędziego Hilton. Objasniło to publicznie i wykazało, że winy właściwej nie było po stronie niczyjej, ale tkwiła ona w rdzeniu rzeczy: w tem mianowicie, że chcąc, przy względnej taniości, dać mieszkankom używanie materialne możliwie największe, poświęcono rzeczy natury wyższej, nie brano ich w rachunek, a nawet dla świetności i pozorów wygodę rzeczowistwą na dalszy plan usunięto. Kobiety, hotel opuszczające, dowodziły, że nie był to wcale „dom“, ale coś pomiędzy klubem a klasztorem, gdzie wola ich zostawała co chwila ograniczaną przez jakiś paragraf przepisu. Nie wolno było przyjmować żadnych odwiedzin męskich, nie wolno było przyjaciółki, siostry, matki rodzonej zaprowadzić ze sobą do pokoju sypialnego, nawet współmieszkancom nie dozwolono przepędzać ze sobą wieczorów, lub wolnych chwil wśród dnia w pokojach sypialnych, które też miały obszar tyle tylko, aby warunkom higienicznym zadość czyniły i ztąd nie wolno było zapęknąć ich, wnosić cośkolwiek nad to, co mieszkanki miejscowego znalazły, a co ograniczało się najściślej do potrzeb sypialni i toalety. Piękne, wygodne łóżko; piękna, wykwintna niemal gotownia; zegar na konsolce; umywalnia tak wybornie urządzona, że ani kropla wody nie splamiła dywanu, który wyscierał pokoje pierwszego piętra, lub eleganckich różnobarwnych mat indyjskich na piętrze drugim; wieszadło o sześciu dziobach służące do wieszania sukien na chwilowe użycie — zresztą ani szafki własnej, ani pudełka, sprzączka, schowanka żadnego dodac tu nie było wolno. Nie było wolno również postawić na oknie kwiatków, przy oknie stolika do roboty lub pisania, maszyny

do szycia, stalugi do malowania — nic, nic zgola. W dodatku ani ptaszek, ani piesek, kotek faworyt cierpiącym nie był; nie można było przybić gwóźdźnia na obraz, portret jakiś miły, na zegarek własny. Więc też wyprowadzano się, krzycząc na ścięśnienia trudne do wytrzymania, co było rzeczą niewątpliwą; ale niezaprzeczenie słusznem było i to, co ze swego punktu widzenia odpowiadała strona przeciwna. Pokoje sypialne, zostawione do wolnem zachciankom mieszkank czasowych, niezmiernie prędko zostały-by zeszepeczone; zawalenie ich sprzętami własnymi, zacieśniłoby je, a głównie zepsuło elegancki wykwint, jaki tu utrzymać chciało. Aby je od tego uchronić, zbudowano obszerne garderoby i zachowanka, tak jak również liczne, pysznie piękne salony do wszelkich możliwych zajęć istniały w tym celu, aby w miejscu na to właściwem oddawać się pracom, dla których wszelkie możliwe wygody wytwornie urządzone, każda z osób mieszkających w domu znaleźć mogła.

— Ale chciałyśmy mieć jaki taki kącik, któryby był o tyle własnym, aby wyraz uczuć przyjaznych, uczuć rodzinnych na widok mnóstwa oczu wystawiony nie był; gdziebyśmy mogły wymówić i usłyszeć jakieś słowo poufne; gdziebyśmy mogły pracować samotnie, skoro stan umysłu, czy serca do tego skłania — dowodziły kobiety. A kilka chwil miłych w kółku wybranem, bliższem, czyż to nie potrzeba konieczna? Odpowiedziano im przeciw, że to wszystko było taką poezją, na jaką w falansterach, kędy jednostka wieszana jest w masę, miejsca niema. — Może to istnieć w rodzinach, przy ogniskach domowych, ale nie u nas — mówiono. — My, biorąc rzecz ze stanowiska ekonomicznego, dostarczyliśmy wam po najniższej jak można cenie wykwintu wygod materialnych: używanie, które może być dostępnem tylko dla bogaczy, jeżeli się nie opiera na stowarzyszeniu współdzielczem. Zadanie nasze było takie a nie inne, i w zakresie naszym to, czego się dopominacie, byłoby ruiną przedsięwzięcia takiego, jakim ono jest.

Codo odwiedzin męskich, Hilton przyznał, że zabronienie ich, było ograniczeniem przykrem. Kobieta, choć żyje samotnie, musi mieć niemniej krewnych, przyjaciół i znajomych, może mieć stosunki męskie z interesów wynikające, ale na to rady nie było. Zgromadzenie tak wielu kobiet, przeważnie młodych lub w wieku średnim, sprowadzałyby odwiedziny tak liczne, że mimowoli i chęci mieszkank, wytwarzałyby się z tego codzienne rauty, zebrania głośne, zawiązałyby się stosunki, które, następnie wikłając się, jak zwykle sprawy ludzkie, mogłyby przynieść domowi ujmę, narazić go na obmowę. Codo faworytów ezworonionych, to wytworzyłby się z tego niezdolny dla domu ciężar, bo wystawmy sobie cały hotel zamieszkały, a wtedy choćby tylko pięćset wyżełków czy charcików, pięćset Minetek i Maciusiów? A mogłaby być tego liczba zdwojona, mogłyby tego być tysiące...

Dla ptaszków godzono się założyć ptasiarnię, ale to nie odpowiadało rzeczy, którą chciało osiągnąć; odwiedzin męskich dozwolano w salonie wyłączonej, za opowiedzeniem się i dozwoleciem przełożonej, lecz warunek ten uznano za upakarzający i niewłaściwy dla kobiet, które zasługują na szacunek i nie przyjęto go. Hotel zatem opustoszał a krótkość jego istnienia jest niesłychanie naucająca, nietylko dla krajów, gdzie pewna szkoła ekonomistów socjalistycznych usiłuje wprowadzić w obyczaj życie hotelowe dla rodzin całych, życie *połączonych ognisk domowych* (Cooperative Households) jak je nazywają w Ameryce, gdzie już praktykuje się to gdziegdzie. — „Jest coś wyższego nad ekonomią“... powiedział Francuz Rossi, jakkolwiek sam ekonomista — coś jak uczucie rodziny, domu, ogniska własnego, coś jak duch ludzki, który na długi nie zadowolili się nawet w piersiach najpospolitszych, samem używaniem materialnem, bo „nie samym chlebem człowiek żyje“.

Hotel Stewarta chciał uszczęśliwiać w ten sposób właśnie: chciał uszczęśliwiać głównie przez powierzchowne i lichsze upodobania człowieka i runął też, okazał się błędem, „a failure“ jak o nim powiedziano na miejscu, gdzie krzyczano na jego rygor surowy. Ale niema więzów cięższych nad te, których zaród tkwi z konieczności w każdym stosowaniu teoryj socjalistycznych. Chwytają one

człowieka w kleszcze istic żelazne, poświęcają jednostkę na korzyść społeczeństwa w ten sposób, że nikną osobistości a zostają się jedynie „osobniki“. Jak w więzieniach lub domach kary i poprawy, człowiek staje się ta przedewszystkiem liczbą, i ztąd czem natura jest idealniejszą, w duchowych swych wymogach wyższą, jako umysł i serce delikatniejszą, tem ciężej jej wyżyć w pressyi takiej. Tylko w operacjach czysto ekonomicznych wielkie przedsięwzięcia współdzielcze korzyść dać mogą i, jak widzimy, dają, ale wkraczać im nie wolno w sferę moralną; tacy też tylko forytują je, tacy chcą uczynić je podstawą życia ludzkiego, którzy tej sfery nie uznają, dla których człowiek jest pewnym rodzajem doskonalszego, sprytniejszego niż inne zwierzęcia. Przecież cała historia ludzkości protest przeciw temu zakłada, cała historia ludzkości wykazuje, że człowiek dla duchowych potrzeb swoich, potrzebuje indywidualną stroną istnienia swego żyć w rodzinie i tam tylko może rozwijać się podług praw i przymiotów szlachejtnych natury swojej. Rozerwawszy przez socjalizm tę instytucję naturalną, w której jest dla istoty ludzkiej miejsce na wszystko: na swobodę dostojną, na dostojną dumę, na uszanowanie osobistości każdego jej członka, społeczeństwo skazane na to, co mu w zamian dają, wpadałoby z konieczności w ucisk, w ograniczenie dziwnie uciążliwe. Aby wielkie gromady, zrównane i sprzężone razem, mogły istnieć, niestając się hordą, bezrządem, nieładem najwyższym, musi trzymać je w karbach regulamin surowy, rygor ostry, a to z przyczyny, że nie istnieje tu kontrola, jaką w rodzinach siła uczuć wzajemnych nad każdą jednostką wykonywa; że usuwa tu się ofiarność, która często *moje* dla *twojego* poświęca, a zawsze czuwa tkliwie, aby nikomu źle, ciasno nie było. A przytem pełni się w rodzinach to, co przysłowie orzeka: „mój zawsze mi miły“, miły w tym stopniu, jakiego sama miłość bliźniego obcym udzielać nie może. Toteż dla kobiety szczególnie, która mniej może żyć abstrakcją, ideą, umysłem, która pod karą próżni w życiu musi przywiązać serce do czegoś, co jest żywe, ciepłe, czemu może się oddać już wręcz z ofiarą uczuć miłosnych, poświęconych i co naodwrot staje się jej ukochaniem, na niepodzielną własność jej istoty wziętem, dla kobiety życie w komunie jest niemożliwe i grozi niebezpieczeństwami bardzo wysokimi. Te, które do idei takich przystają szczerze, a nie przez awanturniczość i chęć zerwania więzów, jakie obowiązek i moralność życia rodzinnego nakłada, te ulegają obłudowi, który zwoździ je, kusząc fałszywym ideałem ogólnego braterstwa, i wyższego niż obecnie wymiaru sprawiedliwości społecznej: Kielich dla wszystkich! jak wolał Taboryci Czesy — te uczują się wkrótce rozczarowane, nieszczęśliwe, cierpiące. W kobiecie instynkt rodzinny najsilniej jest rozwinięty, w kobiecie żyje najsilniej moc uczuć rodzinnych; i dlatego wszelkie teorye z odsrodkowem względem rodziny działaniem, nigdy na trwałe i ogólniejsze poparcie kobiety liczyć nie mogą. Filozofia szkoły materialistycznej, która poezji na uczuciu, na ideale opartej, a ztąd z kobiecością złączonej, nie pojmuje, i wskutek tego żadnej wyłączości kobiecej nie uznaje, otwiera szeroko wrota skrajnej emancypacji owych virago, które również idealnych stron natury kobiecej w sobie nie czują i tem sposobem pozyskuje je dla siebie. Ale tego za rzeczowisty świat kobiecej nie należy uważać, nie należy do ogółu kobiet stosować: emancypacja skrajna występuje zawsze na jaw w chwili, gdy kierunek materialistyczny przemaga i tam najwięcej się szerzy, gdzie pierwiastek idealny jest najsłabiej reprezentowanym, pojęcia idealne najmniej rozwiniętymi. Badajmy ruch emancypacyjny uważnie i na zasadzie najmnieomylniejszej, bo na zasadzie cyfr statystycznych, a przekonamy się, że tak jest. Parcie kobiet w kierunku zajęć natury więcej męskiej niż niewieściej, wydzieranie się kobiety poza rodzinę, nie powstaje najsilniej tam, gdzie-by mogło to mieć przyczynę ekonomiczną, nie wynika z trudności życia w krajach przeludnionych, gdzie widmo nędzy rodzinnej, ukazujące się oczom mężczyzny, od małżeństwa go powstrzymuje i znaczna liczba kobiet pozostaje skazaną na byt samotny, pracą własną za podporę mający. Nie, jednym z dowodów tego jest Ameryka: tam życie przestronne a mniejszość ko-

biet zawsze znaczna, daje pewność małżeństwa każdej pojedynczo; a przecież tam-to góruje skrajność w pojęciach emancypacyjnych, i dziś ztamtąd niemal przychodzi ona w tych nienaturalnościach swoich, które uważać należy, nie za ruch w łonie kobiecości, ale za jedną stronę ruchu idei materyalistycznych, za ich oddziaływanie na kobiety.

Marya Ilnicka.

MELESZKOWIE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Zbigniewa.

(Dalszy ciąg).

Owoż-to stało się przypadkiem, że książę Sołłohub „banita“ wśród strasznej ulew i niezmiernie czarnej nocy, przypadkiem, trafem, niech będzie jak chce, dość, że zaszedł w progi pana leśniczego, i poprosił go o gościnność na dni kilka.

Książę z góry oświadczył, iż jest wędrowcem z dalekich krain, że ma bardzo ważny interes do p. Kasztelana Meleszki; lecz, skoro się dowiedział, iż obecnie gości na jego dworze pani baronowa Engelhart, siostra p. Kasztelana, nie chce się tam pokazać dla przyczyn *jemu wiadomych!* A więc, kończąc rozmowę, podróżny rzekł w ten sens:

— Panie leśniczy, nie bierz mię pan za jakiegoś przybłędę; ja jestem szlachcicem dobrze urodzony, a nawet powinowaty p. Kasztelana, mam z sobą *interesa familijne*, i chciałbym z nim sam na sam pomówić!

— Rozumiem, rozumiem,—odparł domyślny pan Kopeć—widno, że się tam panu należą pieniądze, a p. Kasztelan nie chce ich oddać! O mój łaskawy panie, tam grosz grosza nie dogoni... pan rządcą Gomulecki, wielce stateczny i mądry człek—nieraz mi powtarza że łązami w oczach, że gdyby jego nie było, to już klucz Meleszkowski poszedłby pod *ex-dewizę!*... tyle długów — tyle długów cięży na dobrach kasztelańskich!... ja oto dopiero drugi rok jestem leśniczym—a daję panu słowo uczciwego człeka, że gdyby nie ja, to jużby cały las runął!...

Książę odrzekł na to z powagą:

— Bardzo mi smuci co słyszę od pana; lecz ja tu nie po pieniądze przybyłem!... mam *inne długi* z panem Meleszką, o których, pan wybaczysz, że mu wzmiankować nie będę; lecz jeśli gościnność pana jest staro-szlachecka, pozwolisz mi zostać w swoim domu przez dni kilka, za co ja pana z góry wynagrodzę, gdyż sądzę, że pan nie jesteś człowiekiem bogatym.

— O panie! mój łaskawy panie, jam taki ubożuchny: czyż byłbym leśniczym, gdybym był bogatym? Mam żonę, mam córkę i ledwie je wyżywić mogę!

To mówiąc, pan Kopeć wdychał jak miech kowalski.

Książę Sołłohub, nieodrzekłszy, nie na ten tak wymowny argument, odpiął klamrę od pasa, który mu otaczał biodra, i wyjął zeń kilkanaście dukatów hollenderskich, które rzuciwszy niedbale na stół, rzekł pańskim tonem:

— Panie Kopeć, oto z góry płacę za pańską gościnność przez dni kilka; nadewszystko proszę o dyskrecję, żeby nikt a nikt nie wiedział, że ja tu jestem, nawet przyjaciel pański, pan rządcą Gomulecki.

Pan Kopeć, któremu oczy wychodziły z orbitów na widok złota — gotów był przysiąc, że nawet on sam nie widzi przybyłego!

Lecz złoto magnetycznie działało na pana leśniczego: wstał z krzesła, oddał głęboki ukłon, i rzekł pokornym głosem:

— Może jaśnie pan być przekonany, że para z gęby mojej nie wyjdzie—na mój honor szlachecki! — Lecz żona i córka, kobiety, to zwykle jak

sroki — mogą się wygadać i zdradzić pańskie *incognito!*....

— Ja sam się rozmówię z pańską żoną i córką—odrzekł z łagodnym uśmiechem podróżny, pan będziesz tylko łaskaw zapoznać mię z niemi; sądzę, że będą równie dyskretne jak i pan;—dukaty racz pan zgarnąć, aby te panie nie widziały, że „*milczenie*“ płaci się złotem!... Kobiety lubią co innego!

Pan Kopeć sumiennie zgarnął hojnie rzucone pieniądze, oddał czolobitny ukłon, gdyż ręki nie śmiał dotknąć *panu*, co tak szafował pieniądźmi!... W opinii p. Kopcia niezmiernie wysoko stanął ów nieznamy podróżny.

I gdy już miał wychodzić po żonę i córkę, by je sprezentować—i zalecić im *milczenie* „pod przysięgą zbawienia duszy“—nagle przypomniał sobie, iż nie wie jak się ów pan nazywa—i jak go ma zarekomendować?...

Boć przecie zawsze, ktoś, jakoś się nazywał! Stanawszy więc w progu, rzekł z bardzo pokorną miną:

— Z przeproszeniem jaśnie pana, ale śmiem spytać o jego godność—jeśli to nie jest niedyskrecją z mojej strony?

— Bynajmniej, p. Kopeć—jest to rzecz bardzo prosta i naturalna, wiedzieć jak się *ktos* nazywa, co przychodzi w nasze progi i żąda od nas gościnności i „*sekretu*“; powiem więc panu, że się nazywam Gerardo, jest to nazwisko włoskie, mimo, że jestem Polak!... proszę nadto, nie nazywaj mię pan „jaśnie panem“, bo ja nim wcale nie jestem — po prostu „panie Gerard“ i konieci!...

— Wszelakoż—wtrącił p. Kopeć,—nie zdaje mi się...

— Niech się panu to tylko zdaje, co ja mówię; domysły zwykle prowadzą nas na mylną drogę!... żonie zaś i córce, racz pan powiedzieć, że jestem wędrownym malarzem, wracam z Rzymu... i chciałbym zachować zupełne *incognito*, dla przyczyn... dla przyczyn—*interesów familijnych!* Oto wszystko, co mogę panu powiedzieć; zaręczam wszelakoż, szlachekim honorem, że nie jestem ani *złodziejem* ani *zbojca!*

— O panie! — zawołał z niekłamany entuzjazmem p. Kopeć — dość spojrzeć na twarz pana, i w jego czyste oczy!... aby mieć to przekonanie żeś pan uczciwy człowiek!... a mówię prawdę—tak mi Boże dopomóż!

I pan Kopeć uderzył się ręką w piersi, na znak że nie kłamał.

Był bowiem dobrym fizyognomistą z natury.

I gdy pan leśniczy zniknął za drzwiami, by zawiadomić żonę i córkę o gościu przybyłym w włoskiej krainy... my tymczasem naszkicujemy powierzchowność księcia Gerarda Sołłohuba!

Wzrostu słusznego, barczysty, dzielny, rycerski, włos czarny, broda, wąsy czarne,—nadawały mu charakter typu azyatyckiego; lecz w tych czarnych oczach zarazem była dziwna łagodność i rozum patrzący wyraziście; usta czerwone wypukłe, skłonne do uśmiechu i niewinnego żartu; nos o najczystszych liniach słowiańskich.

Jednym słowem, książę Gerard Sołłohub, był tak ponętym młodzieńcem, że nawet prozaiczny pan Kopeć oddał mu tę sprawiedliwość, mówiąc najwinnie: „dość spojrzeć na twarz pana, i w jego *czyste* oczy, aby mieć to przekonanie, żeś pan uczciwy człowiek“!

I rzeczywiście, nie mylił się pan leśniczy, książę Sołłohub był idealnie prawym człowiekiem; mimo-to, był „banita“.

Lecz w owym czasie, kiedy wypadki polityczne w całej Europie były gorączkowym pulsem, zbyt często dawało się słyszeć, że ten, lub ów szlachcic na banicyę został skazany....

Francya wyprzedzała inne mocarstwa w tej mierze, a tytuły książąt i markizów miały jeszcze dodatek „banita“.

Lecz w następnym rozdziale powiemy nieco obszerniej o familii książąt Sołłohubów, których ród obecnie zupełnie wygasł; teraz czas nam wrócić do Borówki, gdzie się znajduje *ostatnia* latorośl i *ostatnia* nadzieja starych książąt, że on jeszcze rozkrzewi usychające drzewo genealogiczne.

Owo więc książę Gerard, bawiący już od tygodnia w Borówce, pozyskał niesłychane względy całej rodziny Kopców, już-to hojnemi dary, już-też swoją osobistością, jako młodzieniec dobrego wychowania i *arystokratycznej grzeczności*, którą tak wysoko cenią najzaciejsi nawet demokraci.

Pan Kopeć milczał jak ryba, zdawało się, że naraz ogłuchł i oslepił, i gdy go który gajowy lub ekonom ośmielił się zapytać, odpowiadał:

— A tobie, trutniu, co do tego!? to jest wielki malarz z włoskiej krainy, ale ty się na tem nie znasz, więc lepiej milcz—i nie zajmuj się tym panem!...

Pani Kopcowa, ze swojej strony pytana, odpowiadała (pod sekretem): „Ja nic nie wiem, ja tego pana nie znam; ale jest bardzo grzeczny i dużo czytał książek!... mnie się jeno widzi, że w tem jest jakaś intryga miłosna!... może która kasztelanka rozbiła mu serce?... o! już wiele takich rzeczy czytałam w „*istoriach*!“

Panna Julia, której, powiedzmy prawdę, nadzwyczajnie przypadł do gustu urodziwy książę, odpowiadała z rezonem i czelnością:

— A panu co do tego, panie Piotrze lub Pawle (stosownie, do imienia tego z konkurentów, który zaklinał ją w imię miłości: kto jest ów nieznamy pan, co z niemi nawet nie gada).

— Jest to—mówiła dalej, śmiejąc się i pokazując swoje białe zębki,—jest to... no, chcesz pan koniecznie wiedzieć?... otóż, powiem panu pod sekretem, jest to mój konkurent, przyjechał aż z włoskiej krainy starać się o moją rękę! Ot co jest.

— Nie może być!—wołał pan Piotr lub Paweł—zładże-by on mógł wiedzieć o pannie Julii aż we włoskiej krainie?

— To dobre, pan jesteś impertynent! niby to mnie znają same tylko świszczypały!

Książę Sołłohub nie był znany przez tych panów officyalistów, których p. Gomulecki, przez te parę lat zmienił tak często, jak znoszone obuwie. Nikt więc go tu nie znał—oprócz panów: Zaremby, Gomuleckiego i starych sług dworu Meleszkowa. Lecz, jak widzimy, nie pośpieszał do pałacu, dla przyczyn jemu wiadomych; wszelakoż, widział się już razy kilka z p. rotmistrzem, zalecił mu tylko pod słowem honoru, niemówić nic kasztelanec o jego wierności w Borówce. Pan Zaremba dotrzymał wiernie słowa.

Książę, poetyczny, zapalona głowa, przytem kochający namiętnie Maryę, z narażeniem życia przybył na Litwę—jak prawdziwy rycerz średniowieczny, celem widzenia tylko zdała kochanki! licząc, że traf, przypadek, Opatrzność, posłużą mu do tego.

Wiedział bowiem, że excentryczna kochanka lubi samotne robić wycieczki—to konno, to pieszo — że zbiera leśne kwiaty—że, odwiedza chorych włościan; słowem, był wszędzie, na każdym miejscu, i nigdzie jej nie ujrzał! Przeklinał losy, złorzeczył Opatrzności, i nareszcie, zdecydował się napisać jej kilka słów przez pana rotmistrza Zarembe.

List nadszedł w przeddzień balu; Marya żądała, aby on sam przyszedł do niej — przyprowadzony wieczorem przez p. Zarembe. Gerard odmówił stanowczo. Resztę, wie czytelnik a raczej dowie się jej w następnym rozdziale.

VI.

Owoż, na drugi dzień po balu, czytelnik zapewne przypomina sobie, że rozkazem JW. kasztelanki było, aby dwa konie osiodłane o godzinie ósmej stały przed oficyną. Wszelakoż spóźniło się tylko o pół godziny, i to z przyczyny p. Zaremby. Bynajmniej nie zaspiała oznaczonej godziny piękna dziewczica;—od godziny siódmej już była ubrana i, trzymając w ręce leniwy tren swojej amazonki, chodziła szparkami kroki po pokojach, to przykładała przed krucyfiks, chociaż usta nie modliły się pacierzem!... to chusteczkę przykładła do oczu, z których mimowoli łzy wytryskiwały,—to posyłała służącą, by obudzić pana rotmistrza; a, niestety, pan rotmistrz spał snem sprawiedliwego człowieka, co gdy się położył o godzinie drugiej—nie może wstać na piąta!...

W pałacu wszyscy spali jak w grobie!

Pół godziny było drogi do Borówki, i to jadąc szparkim kłusem.

Punkt o godzinie dziewiątej kasztelanka, ze swoim sześćdziesięcio-kilkoletnim paziem, była już w Borówce. Tentent galopujących koni przeraził całą familię Kopciów, która właśnie piła smaczną kawę. Wszyscy byli przy stole w jadalnej salce, oprócz kniazia Solłohuba, który zwykle jadał sam, w swoim pokoju. A był to właśnie pokój *bawialny*, do którego wniesiono łożko pani Kopciowej—albowiem było najpiękniejsze—i dywany, i cacka srebrne i porcelanowe, i kwiaty w wazonikach: bo czyż można co oszczędzać dla gościa,—co nie patrzy na pieniądze, płaci za wszystko jak król— a je jak wróbel!

Gérard, czytał właśnie w tej chwili *Danta*, siedząc wśród wazonów, w otwartym oknie, które dzięki szczodrości panny Julii zakrywały prawie całkiem siedzącego; było to bowiem wspaniałe „geranium“ i krzewiste „rododendrum“. Książ Solłohub, czytując *Danta*, powtarzał machinalnie głośno co bolało go w sercu:

Nessum magior dolore....

Aż tu, jak zjawisko senne, ukazuje się na koniu Marya, jego najdroższa Marya!... ideał snów nie prześlonych!... On, ją widział doskonale z poza zielonych liści geranium i rododendronów, ale ona widzieć go nie mogła, bo był ukryty!...

— Boże! to ona—zawołał—sama tu przyjechała do mnie!... i uchwycił się ręką serca, jakby się lękał, by nie pękło z radości; i żyły bezwiednie, nie męzkie, a raczej *dziewięce*, popłynęły mu po ogorzałym licu.

I książ—Rusin, wierzący silnie w dobroć i miłosierdzie Boże, nie miał słów na znak dziękczynny „Temu“, co mu daje tę łaskę!... jeno przeżegnał się wielkim krzyżem i rzekł staro-dawnym ojców językiem:

— Sława Tobo Bohu, na Niebiesach!

Dlaczego dziękował Opatrzności w tem narzeczu?... nie wiemy, gdyż zwykle mówił czysto i poprawnie po polsku.

— Mamol!... jak Bożę kocham! to starsza kasztelanka przyjechała konno z panem rezydentem rotmistrzem!—zawołała p. Julia, rzucając filizankę na ziemię.

— Nie może być!—zakrzyknął p. Kopec—wczoraj był „okrutny“ bal w pałacu; panna kasztelanka nie mogłaby po balu odbywać swoich „*wyścigów na koniu*“—to zarano!

— O! o! o! to ojciec nie wie tego — zakrzyknęła rezolutna panna Julia, że ja pannę Maryę kasztelankę—widziałam w borze czasem o godzinie piątej rano, jak zbierała grzyby ze swoją służebnicą!... jak ojca i matkę kocham!—to ona!—przecie ją znam dobrze; to nie „hambitna“ panna, jak jej siostra „Kara“: ona wszystkim chłopom daje pieniądze, tak mi Boże dopomóż!... a, jak ją wszyscy kochają!—niech się tatko popyta gajowych i chłopów, w całym Meleszkowie!... Ot, ja raz tylko w gajku Borowskim, przyniosłam jej bukiet leśnych kwiatów, to mi wraz zdjęła z szyi ten krzyżyk, i dała „na pamiątkę“! a przecie to jest *szczero-złoty*!

— O! to bardzo dobra panna — odrzekł uroczyście pan leśniczy, szkoda tylko... że ma „*bzika*“ tu—i zakreślił palcem po czole.

— Co, p. kasztelanka ma *bzika*?—zawołała poczciwa p. Julia, to chyba ojciec sam zwaryował, płatać takie głupstwa!—dobrze, że nikt nie słyszał!... ale cyt!... otóż i ona!...

Jakoż rzeczywiście weszła majestatycznym krokiem p. kasztelanka, i wyglądała naprawdę, jakby miała rodzaj obłąkania!... Policzki, zwykle blade, płonęły szkarłatem; oczy świeciły gorączkowym blaskiem, a usta były w pół otwarte—jak-by się lękały, by nie wypowiedziały myśli, a wszelakoż słowa błędziły bezwiednie a tajemniczo.

— Przepraszam państwa, stokroć przepraszam, że tak rano utrudzam ich moją bytnością... ale ja zwykle robię ranne wycieczki,—mówiła zwolna jasnie panna.

— Honor nad zasługi!—odparł wpół zgięty pan Kopec—honor dla domu!—honor dla całej familii! że jasnie pani raczyła!...

— Wejść w nasze niegodne progi!—dokończyła książkowym stylem p. Kopciowa.

— Ja-bo jestem bardzo kontenta, że p. kasztelanka zatrzymała się w Borówce—mówiła. cała zarumieniona p. Kopciówna i ujęła rękę p. Maryi, by ją ucałować; lecz kasztelanka nie pozwoliła na to, i pocałowała w czoło p. Julię.

Niech państwo tak mi nie dziękują—rzekła z łagodnym uśmiechem za moją wizytę — gdyż ta jest wiele egoistyczną! Pan rotmistrz mi mówił, że u państwa przebywa *jakiś* malarz, z Włoch podobno—otóż, chciałabym, aby zrobił mój portret... ja dobrze mu zapłacę!...

Cała rodzina Kopciów stała jak głucho-niemi; nikt nie odważył się wyrzec słowa.

Pan rotmistrz wszelakoż odezwał się w ten sens: No, juście państwo zaprzeczycie nie możecie, że jest tu w Borówce jakiś malarz, co podobno robi portret p. Julii? Wszak prawda? he?

I to mówiąc, rozśmiał się rubasznie.

— Przepraszam pana rotmistrza—zawołała panna Kopciówna, choć ten pan jest malarz z włoskiej krainy, ale dotąd nie zrobił mego portretu, jak mamę kocham!

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Prawo wyjątkowe i trwogi, jakie obudza.—Interesa dziennikarstwa. — Postępowi. — Cywilny stan obłączenia. — Kanclerz po kuracji. — Reformy zapowiedziane. — Podatki. — Drezno opustoszałe. — Przeludnienie w klasie robotniczej Berlina. — Przyczyny jego. — Marynarka niemiecka.—Admirał Stosch.—Zmiany w ministerium spodziewane.—Falk.—Narodowo-liberalni.—Lasker. *Niebelung* w Lipsku i ich powodzenie. — Lipsk i Drezno.—Francuzi i Niemcy.—Dwóch Daudetów. — O. Feuillet *Dziennik kobiety*. — Waryacje na temat romansowy. — *Zydzi polscy* L. Herzberga Fränkel. — Książki o Francji. — *Sprzedane serce* Maxa Ring.—Nowe powieści—Jul. Grosse. Glaser. Vischer.

Jesteśmy tu w przededniu prawa wyjątkowego, wymierzonego przeciwko utopistom zuchwałym; parlament się nad niem naradza, a kraj cały oczekuje ogłoszenia go, powiedzmy prawdę, z trwogą wielką. Prawo to, które łatwo zastosować się może do wszystkich objawów myśli niezgodnych z systematem panującym, najwięcej obawy obudza w prassie. Nie idzie tu jednak tyle o wypowiedzianie i interes przekonania, ile raczej o materyalny byt dzienników zagrożonych prawem, które w każdej chwili może obalić przedsiębiorstwa znacznymi ugruntowane kapitałami.

Żyjemy w wieku, w którym kieszeń idzie przedewszystkiem; frasuja się więc wydawcy dzienników groźbą przyszłości. Kary pieniężne, jakimi dotąd okładano dzienniki, niezem były wobec władzy, jaką nada prawo nowe: władzy zakazania z dnia na dzień pism, które mają po kilkadziesiąt tysięcy prenumeratorów.

Szczególniej tak nazwany obóz postępowy (*Fortschrittspartei*), którego książę-kanclerz nie lubi, i stawia go na równi prawie z najskrajniejszymi radykalistami, lęka się o przyszłość swojego dziennikarstwa.

Prawo nie zostało jeszcze uchwalonem, ale już z rozpraw nad niem i ustępstw poczynionych przez Narodowo-Liberalnych widać i czuć, że będzie przyjętem, co najmniej na lat kilka.

Niemcy ze smutkiem i boleścią powtarzają po eichu, iż ich uznano przez to za niedojrzałych do swobód, które im były nadane.

Ci, co widzieli kanclerza po powrocie z Kissingen i Gastein, opowiadają, iż znaleźli go silniejszym i żwawszym, chociaż otylszym niż był dawniej. W czasie ostatniej mowy wygłoszonej w parlamencie, przy odpowiadaniu na zarzuty uczynione mu, iż sprzyjał Lassalowi i jego teoryom, ks. Bismarck widocznie był rozdrażniony, niecierpliw i, choć podżartowywał z przeciwników swoich, śmiech jego zaprawny był goręczą.

Sprawy parlamentu, powołanego wyłącznie tylko dla głosowania na prawo wyjątkowe, i mającego się

rozejść natychmiast, zajmują głównie Niemców. Lecz niezem jeszcze to prawo wobec mającej po nim nastąpić reformy podatków i projektu opodatkowania całego państwa.

Nowy ten dochód uczyni rząd niezależnym od parlamentu, a, jeśli prawo przejdzie naprzód, da w ręce księcia środek zagłuszenia w prassie opozycji przeciwko opodatkowaniu.

Wszystko to bardzo zręcznie jest obmyślane i wiąże się z sobą.

Energia i niezłomna wola ks. Bismarcka pozwalają mu przeprowadzić szczęśliwie nawet to, co najmniej zdawało się możliwym.

Przy tak kłopotliwym jutrze, miarkujecie łatwo, że nie jest tu u nas ani wesoło bardzo, ani dostacnio. Przemysł cierpi, zwiększenie podatków grozi, cywilny stan obłączenia wisi nad głowami, jak miecz Damoklesa: wszyscy więc chodzą zamysleni, pogębieni, strwożeni. W Dreźnie, szczególnie opustoszałem, duszno jakoś i niewesoło. W miesiącu Październiku za przeszło milion marek domów idzie na sprzedaż przymusową, kilkaset mieszkań stoi pustych. Na tej klęsce, jaka zadało miastu nagłe usunięcie się obcych gości,—na których nawykli byli rachować wszyscy,—straciło Drezno niezmiernie, a nie nie zwiastuje, aby prąd, raz odwrócony, mógł do dawnego powrócić łożyska.

W Berlinie tymczasem policja miejscowa, w cyrkulach niektórych pilny robiąc przegląd mieszkań robotników, tak zwanych noclegów (*Schlafstelle*), wykazuje niesłychane przeludnienie ubóstwa i straszliwą demoralizację.

Majątniejsi uciekają ze stolicy; ubóstwa do niej, w nadziei pracy, przypląwa, a, nieznajując jej, dopuszcza się występków i popada w szafy najokropniejsze. Zapóźno wzięto się do nadzoru i porządkowania stosunków, których skutki są najopłakawsze.

Po wojnie francuzkiej taka była mnogość przedsiębiorstw różnych, tak na gwałt się budowano w Berlinie, iż robotnik, nęcony zapłatą nadzwyczajną, przypląwał zewsząd: teraz wszystko naraz ustało, bankrutwa gruzem zasypały drogę przedsiębiorstwom, a robotnik, raz wyemigrowawszy, nie chce powracać do domu.

W fabrykach też liczba pracujących się zmniejsza; całe zastępy proletaryatu pozostały bez roboty, bez chleba i bez nadziei polepszenia bytu. Czy na to prawo wyjątkowe zaradzi? — nie wiemy; da jednak możność wypędzania i pozbywania się żywiołów niespokojnych.

Drugim przedmiotem, zwracającym w tej chwili uwagę powszechną, jest marynarka niemiecka, kreacja nowa, młoda i niedosyć pomyślnie jakoś się rozwijająca. Postawiony na czele jej p. v. Stosch, protegowany silnie przez następcę tronu, a niemniły księciu kanclerzowi, świeżo z generała na lądzie kreowany marynarzem, którego zdolności i szybkie obeznanie się ze swem zadaniem wychwalano wielce niedawno, jest dziś kozłem ofiarnym. Jemu przypisują straty i niepowodzenia, jakie świeżo dotknęły marynarkę. Głoszą tu, że zapewne admirał Stosch będzie zmuszonym się usunąć.

Ten sam los ma spotkać ministra Falka, który z kościoła protestanckiego uporządkowaniem nowem nie może sobie dać rady.

W czasie bytności swej w Gastein nie został on nawet przypuszczonem do cesarza i odjechał nie widząc się. Dymissya, którą przypisywano zrazu układowi z Watykanem, nie jest w żadnym z niemi związku.

Na horyzoncie ministeryalnym jako dwa nowe słońca wskazują dobrze informowani panów: Benignsen i Forckenbecka, a zatem Narodowo-Liberalnych, którzy już dziś nazywać się powinni stronnictwem kanclerskim *Quand-même*. Nieprzyjemnego tylko osobiście księciu, małego Laskera, prędej czy później wyrzucą wierni Jego Książęcej Mości, aby swemi poprawkami nie psuł mu humoru.

Na nadechodzącą zimę nie zapowiada się dotąd nic, coby ją uprzyjemnić mogło.

Pod cywilnym czy wojskowym stanem obłączenia, który nas czeka, trudno myśleć o zabawach.

Jedynym faktem do zapisania w kronice jest bardzo wielkie powodzenie, niespodziewane prawie, *Niebelungów* Wagnera, przedstawionych w Lipsku.

Teatr tamtejszy nie uląkł się nadzwyczajnych

trudności i kosztów, które ciągnęło za sobą odegranie, a raczej odśpiewanie, poematu Wagnera.

Ze staraniem najtroskliwszem reżysserya przygotowała czarodziejską wystawę, zebrano artystów i—tłumy się zbiegły, a co więcej, tłumy te rozentuzjowały się niesłychanie. Powodzenie było może większe niż w Bayreuth; teatr nie stracił, a Wagner zyskał uznanie, za które w liście do dyrektora z rozrzewnieniem miastu rodzinnemu podziękował.

Na *Niebelungi* nietylko Lipsk cały się zbiegł; pielgrzymowano z Drezna i Berlina. Powtarzanie dwukrotne ledwie starczyło zachwyconym. Wobec tej śmiałej antreprzyzy teatru miejskiego, wielki królewski teatr Drezdeński wydaje się bardzo zacofanym i trwożliwym. Nie można się temu dziwić kto zna dwa miasta te, z których jedno jest stolicą bez życia dziś, drugie handlowem ogniskiem, pełnem ruchu. Ludność Lipska stosunkowo zamniejsza jest, chciwsza rozrywek i nowości, gdy u nas cudzoziemców brak, ubodzy urzędnicy i przemysłowcy z każdym swym groszem liczyć się muszą.

W Berlinie nie także o odżywieniu teatru nie słychać. Mniejsze sceny pootwierają się bez wielkiego rozgłosu; zapowiedziane nowości w znaczniejszej części są tłumaczeniami z francuzkiego.

Po krótkim przestanku, w ciągu którego unikano wogóle tłumaczeń z języka „nieprzyjacielskiego”—powróciliśmy tu pod panowanie Francji ducha najzupełniej. Paweł Lindau oddawna przerabia Dumasa, a dzienniki jako atrakcyjny przysmak obiecują tłumaczenia Daudeta. Jeden z nich zapędziwszy się, strzelił baka i z dwóch braci, zamiast Alfonsa wybrał mniej wstawionego Ernesta (czy E...?) Wykazano mu to prześlepianie, ale on stoi przy swoim, że autor *Le Petit chose* pośledniejszym jest i—młodszym.

Nie wątpimy, że O. Feuillet „Dziennik Kobiety“ (*Le journal d'une femme*), którego polskich tłumaczeń widzę naraz aż dwa, współcześnie się drukujących, już musi wychodzić albo i wyszedł po niemiecku. Właśnieśmy z nim odbyli podróż z Paryża i, świeżo przeczytawszy, nie umiemy powiedzieć czy go zaliczyć do arcydzieł autora, czy do pośledniejszego towaru. Jest to coś nakształt pięknie rozwiązane zadania, które professor dał utalentowanemu uczniowi. *Ad hoc* potem tworzy się historyjka, mająca dowiedzieć tego, co powiedziała Babunia na pierwszych stronicach. (Ona tu jest panem professorem zadającym temat).

„Kobieta obowiązku, odzywa się pewien deputowany w towarzystwie, do którego należy heroina powieści, kobieta obowiązku nie szuka w życiu romansów,—bo dobrych romansów niema na świecie; nie szuka poezji, bo obowiązek poetycznym nie jest; nie szuka namiętności, „bo namiętnością grzesznie występki się nazywa“.

Na to *dictum acerbum*, babunia oburzona odpowiada: „Oh, oh, za pozwoleniem! takich herezji głosić przed młodzieżą dopuścić nie mogę! Pod pozorem, że z nich chcesz uczynić kobiety obowiązku, zrobisz z nich głupie istoty, młody purytaninie... Najpierw nie pojmuje tej manii stawiania zawsze namiętności naprzeciw obowiązkowi... Namiętność może się z obowiązkiem pogodzić...“

Deputowany sprzecza się z babunią dalej, a starszka mu powiada: „Spróbuj się ożenić z kobietą nieromansową, a zobaczysz, że w życiu wszystko się jej wyda płaskim, nudnym, nieznośnym: naprzód mąż, dzieci potem, religia wreszcie. A, Boże mój, nie przeciw ideom romansowym trzeba zbroić i strzedz od nich pokolenie obecne: niebezpieczeństwo gdzieindziej. Giniemy, nie entuzjazmem, ale wystygnięciem“.

Babunia kończy, zwracając się do wnuczki i młodych panien: „Panie moje i panienki, nie obawiajcie się, owszem, miejcie entuzjazm, bądźcie romansowemi do woli. Starajcie się o ziarenko poezji w główce: z niem łatwiej będziecie uczciwemi, i pewniej szczęśliwemi. Uczucie poetyczne u ogniska kobiety jest jak muzyka i kadzidło w kościele: wdziękiem dodanym enocie“.

Na tym temacie autor haftuje przez kilkaset stronic ciągnące się opowiadanie, które przy ścisłym rozbiórce niezupełnie dowodzi założenia. Heroina poetyczna jest bardzo piękną postacią niewieścią; kontrast z nią stanowiąca, Cecylia—bardzo

biedną istotą; ale ani pierwsza, ani druga nie przekonywają nas o prawdziwości założenia babuni.

Gdyby inne wychowanie zaszczepiło Cecylii więcej poezji, temperament jej i główka roztrzępana nie dałyby się nią poprowadzić lepszą drogą; Charlotta bez entuzjazmu nawet potrafiłaby być tem, czem ją babuni mądrość uczyniła.

Pominawszy tę wadę, że powieść się cała zapowiada na pierwszej stronicy, a opowiadanie przez to z góry przewidziane ostyga dla nas,—całość jest ślicznie ułożoną, szczegółom nie zbywa na oryginalności i dziennik jest ładną nowellą.

Sztynnemu tylko p. d'Eblis, który, jak wszystkie ideały bohaterów, przedstawia się nieco drewniano i zimno, życzyć-by można trochę więcej—choćby słabostek, aby był bardziej—człowiekiem...

Istnym trafem po Feuilletcie wpadł nam po drodze w ręce niemiecki, nietylko powieściopisarz co malarz scen obyczajowych. Książka jego: „*Polscy Żydzi*, historyjki i obrazy“, doczekała się drugiego wydania. Autorem jej pan Leo Herzberg Fränkel (*Polnische Juden. Geschichten und Bilder. Stuttgart. Grüninger. 1878, 8 o, 442 pp.*). Odczytaliśmy ją z zajęciem temwiększem, iż p. Fränkel w przedmowie do drugiego wydania uskarża się, iż dzienniki polskie ciskały nań pioruny po wydrukowaniu pierwszego.

Staraliśmy się zupełnie chłodno obeznać się z tą książką, której pewnego talentu w obrazowaniu i prawdy w obrazach odmówić nie można; a jednak nie umiał autor utrzymać się na stanowisku zupełnie bezstronnem i często wpada w przesadę, dowodzącą, że pewnych warstw społeczności, którą maluje, nie znał bliżej, sądził ją tylko ze słuchu.

Przebaczamy mu to chętnie, szukając w tych historyjkach więcej dla nas zajmujących rysów życia Izraelitów polskich. Obraz jego nie jest ani pełnym, ani zbyt urozmaiconym, pan Fränkel prawie wyłącznie przedstawia nam klasę najuboższą, najbardziej zacofaną i w barwach może nazbyt jasnych. Obrazki są dosyć monotonne, chociaż niektóre z nich wcale udatne. Kunsztu w tem niewiele. Do najlepszych należą: „Jentele“ i „Jałmużnik“ (*Ein Almosener*), do najmniej szczęśliwie pomyslanych—„Złudzenia“ i ostatnie opowiadanie, zresztą oparte na myśli, któraby treścią romantycznego romansu być mogła. Niektóre z tych historyjek, jak Baszynka, grzeszą zupełnem nieprawdopodobieństwem; inne słyszeliśmy jako podania krążące dawniej po kraju (*Eine Carriere*). Jest tu więc i wiele dobrego i więcej jeszcze miernego a pospolitego; wszystko razem wydaje się jakby o lat kilkadziesiąt przestarzałem i więcej do przeszłości niż do terażniejszości należącym. Część tych opowiadań, jak autor powiada, miała być przełożoną na język rosyjski.

Wystawa Paryzka, jak się zdaje, zwiększyła liczbę książek niemieckich o Francji, prawie wyłącznie ujemne strony społeczeństwa malujących.

Zaledwie się ukazała tak zwana *Podróż do prawdziwego kraju miliardów*, gdy oto czwarte już wydanie Ernesta Ecksteina *Paryżkiego życia*, wychodzi w Lipsku, z dodatkami i poprawkami.

Dawniej już mówiliśmy o tej książce, której autor podaje dosyć ciekawych szczegółów, niezatrutych zbyt nienawiścią plemienną. Francuzi mniej bez porównania o Niemcach piszą, a—sprawiedliwość dodać także, mniej i gorzej je znają.

Zepoki, niedawno upłynionej, gründerstwa i spekulacji, pan Max Ring napisał powieść *Sprzedane serce*. Jest to także muzyka na zadany temat, niezbyt szczęśliwie a bardzo naiwnie skomponowana. Sprzedającym serce jest inżynier Brandt, który ukochaną narzeczoną poświęca dla córki jakiegoś Krezusa i za to przestępstwo ukaranym zostaje przykładnie przez płochą żonę i własną winę. Gmach zbudowany na spekulacji wali się na główkę grzesznika, i tylko łaska litościwego nad nim autora salwuje się winowajca i odpokutowawszy, powraca do ukochanej Rosy i na łono enoty. Sens moralny nader jest wydatny; ale powieść ani oryginalnością charakterów, ani zaletami poetycznymi się nie odznacza.

Literatura powieściowa niemiecka czuje się w obowiązku oddziaływania przeciw obecnemu stanowi społeczeństwa. Znanego i płodnego Juliusza Grosse *Miara podwójna*, ma także na celu reformę stosunków terażniejszych. Nie znamy jeszcze po-

wieści Glaser'a *Magdalena bez aureoli*, lecz po *Schlitzmungu* i powodzeniu jakie miał w Niemczech, wiele się spodziewać można. Powieści historyczne ukazują się liczne, tak, że nawet sławny estetyk Vischer jedzą nam zapowiedział,—z czasów mieszkań nawodnych!!! W tak odległej przeszłości można sobie cugle puścić swobodnie, chociaż Niemiec sprawozdawcy sądzą naniewidziane, że więcej w tem będzie nauki i erudyty niż poezji i twórczości. Zobaczymy.

ANTONI MALCZESKI

przez

Władysława Chodzkiewicza.

(Dalszy ciąg).

Cóż można dodać jeszcze do tych wyrazów tak głębokiej, tak wznieślej zarazem miłości? Jak musiał kochać ten, co taki ognisty watek uczucia potrafił wysnuć ze swej cierpiącej duszy! Jakie-to cierpienia musiały rozdzierać to serce, kiedy się trzeba było oderwać od tak silnego uczucia! Sam poeta powie nam w tklivych wyrazach, jakie być mogły jego nadzieje, marzenia i chęci, gdy mówiąc o pragnieniach ludzkiego serca, kończy swą strofą tym ślicznym dwuwierszem:

„Któremu (sercu) nawet w szczęściu jeszcze czegoś trzeba,
I tylko wtenczas błogo,—gdy westchnie do nieba!“

Cały ten długo ustęp, rozmowa Miecznika z córką, jej poświęcenie się, miłość i wiara; przywiązanie ojcowskie starego Miecznika, tkliva, prawie macierzyńska, jego troskliwość dla biednej, słabej sieroty; przybycie kozaka z owym-to listem od Pana Wojewody; przyjazd samego Waclawa, co w niecierpliwiej chęci widzenia Maryi wyprzedził hufce: wszystko to są prawdziwe perły poezji w języku polskim. Nigdy jeszcze do czasów Malczeskiego w tak jędrne słowo tak delikatnych i tak tklivych nie obleczono myśli.

Otóż nakoniec Waclaw i Marya są sami. Ona, szczęśliwa z powrotu męża, doznaje w tem szczęściu swoim jednak boleśnej obawy, na myśl, że ją ukochany wkrótce znowu porzuci, by lecieć na boje, a obawa ta, jakby skłóconym i niesfornym dźwiękiem psuje *umyślnie* szczęścia harmonię. Geniusz poety, w wysokim swem artystycznym poczuciu, starał się widocznie sprowadzić tę sprzeczność, co nie pozwala, aby gotujący się jeszcze dramat znalazł choćby chwilę spoczynku przed fatalnem, niezbędnem spełnieniem się zbrodni.

W tej rozmowie Waclawa z Maryą, w tem pożegnaniu, w którym tklivsza, wrażliwsza natura kobiety, przeczuwa, widzi prawie, jakby ostatnie rozstanie się z Waclawem i z życiem, Malczeski rozwinął znowu całe mistrzostwo swojego talentu i znowu we własnym sercu poszukał jakby pokarmu, jakby pastwy, dla tej wielkiej, nieskończonej, niewyczerpanej boleści, co mu szarpała serce.

Z jakąż-to niezrównaną, anielską tklivością odpowiada poeta, chciałem powiedzieć, Marya, na zapytanie niespokojnego Waclawa:

„Czy Marya ciebie kocha? Mój drogi, mój miły,
Więcej niż kochać wolno i niż mogą siły;
Więcej niż watek serce, gdy jemu już zadość,
Znieśsie umie tak niezmierną, niespodzianą radość;
I gdyby nie Tatarzy, co mi w oczach błyszcza,
I gdyby nie ich strzały, co mi w uszach świszczą,
Tak mi lekko, tak słodko, tak mi nie nie trzeba,
Jakbym w twojem objęciu leciała do nieba.
Czy Marya ciebie kocha? Pytaj się jej cienia:
Czem dla Maryi świat cały bez twego spojrzenia?
Czem dla Maryi świat przyszły bez twego spo-

[mnienia?“

A dalej, puszczać w wodze trwożliwej bojaźni, podnosi, jakby niewidomy całun, to straszne przeżucie, co jej cięży na sercu:

Widzisz ten jasny promień co z liści osnowy,
Ciągnie swój drżący połysk między nasze głowy?
Ten promień żywi, zdobi, każdego weseli:
Czemuż, gdyśmy złączeni, on jeszcze nas dzieli?

I nakoniec zamyka to, niesłychanej boleści i ko-
chania, wyznanie temi słowy:

„Cieszyć się twą radością, twój smutek łagodzić,
Nie myśleć tylko o tem, w czym tobie dogodzić,
Być twoich chwil osłoda, czasem—ich ozdobą,
Żyć dla ciebie i w tobie, umierać przed tobą,
I w tej ostatniej chwili, choć w cierpień natłoku,
Gasnącym wzrokiem szczęście składać w twojem
[oku];

A gdy nie wolno z tobą, żyć w twojej pamięci:
To Maryi cała miłość, wszystkie Maryi chęci“.

A potem? Coż można dodać jeszcze? Potem
trąby znowu się ozwały; Wacław mdlejącą żonę
przycisnął do piersi i odszedł, jak powiada Mal-
czeski, odszedł, ale wziął spokojność. A w opu-
szonej komnacie:

„...cicho,—jak na sercu śmierć swój obraz kreśli,
I pusto, smutno, tęskno,—jak u Maryi w myśli.
Wniosła swą lekką postać do góry, do góry:
Nic nie widać,—wiatr tylko szare goni chmury;
Zniżają się kolana, prosba ręce składa,
Z oczu w niebo utkwionych kroplami żal spada;
I cicho, jak modlitwa w łono Boga płynie—
I pusto, smutno, tęskno, jak gdy szczęście minie“.

Część druga *Maryi* zaczyna się wstępem, jakby
przegrywką jaką, a na tak smutną, posępną nutę,
jakgdyby przeczuwane nieszczęście już—już miało
uderzyć, naprzód wybraną i przeznaczoną na to,
ofiarę.

Ta krótka przegrywka zawiera w sobie kilka
szczególnie wierszy, których nie możemy pominąć
milczeniem, bo w nich jest tak prosty, tak wyraź-
ny zwrot poety do własnych uczuć, do własnej
osobistości, iż one stanowią jakby portret Malce-
zeskiego, własną jego narysowaną ręką. Oto są te
kilka wierszy, co tak żywo przypominają uwagi
Załuskiego:

„Oh! nie, ja wszystkim obcy wśród mojej ojczyzny,
I śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny;
I świata jadłem gorzkie, zatrute kołaczki:
To mi ciężko na sercu i ja sobie płaczę.
A kiedy się rozśmieję, to jak za pokutę,
A kiedy będę śpiewał, to na smutną nutę;
Bo w mojej zwiędłej twarzy zamieszkała bladeść,
Bo w mej zdzieczalej duszy wypłeniono radość,
Bo wpływ mego anioła grób w blasku zobaczy“:
„To, czegoż chcesz pachole?“ „Uciec od rozpacz“.

Pachole to, wprowadzone na scenę poematu; jego
tajemne, skryte zjawienie się w samej chwili dopeł-
nionej zbrodni; jego spotkanie się później z wracają-
cym z wyprawy Wacławem: wszystko to jest zmyś-
lone, dodane do rzeczywistej przygody, tak prosto,
tak treściwie ułożonej w opowiadanie poetyczne,
jak to wskazaliśmy wyżej, mówiąc o głównych,
prawdziwych szczegółach wypadku. Pachole to,
tajemnicze i smutne, nadaje niezmiernie dramatycz-
ny obrót drugiej części poematu i podnosi arty-
styczną stronę jego wykonania.

Zjawienie się zapustnego kuligu i masek w sa-
motnym domu Miecznika, ich krygi i śpiewy, dla
których poeta przerywa jednostajną dotąd miarę
swych wierszy, ich rozmowy ze starym odzwier-
nym, wejście do domu, tajemnicze narady: wszyst-
ko to, skreślone, wyrażone po mistrzowsku, wyka-
zuje w Malczeskim talent. pisarza dramatycznego.
W każdym razie cały ten początek drugiej części
Maryi, podjęty w formie dramatycznej, jest w swo-
im rodzaju drogim i nieoszacowanym klejnotem.

Ale poeta urywa nagle tę nutę napół szyderską,
napół wesołą, a w gruncie złowieszczą i smutną.
Zostawia dom Miecznika najechany przez złowro-
gie maski, zostawia w cieniu, z niesłychanym uczu-
ciem artystycznego pojęcia, dopełnienie ohydnej,
straszliwej zbrodni i prowadzi czytelnika w ślad za
oddalającym się rycerstwem, które połączeni Mie-
cznik i Wacław do bitwy z Tatarami prowadzą.

Opis tego drugiego pochodu polskiego oddziału

wojsk, wśród bujnych, rozległych stepów Ukrainy,
tak różny od pierwszego, nie ustępuje mu w niczem
codo blasku i życia. Lecz i ten obraz, jasny, świe-
tlany, pełen ruchu, ma swój zakątek, z kąd się już
czerni jakby przyszła burza. Smutne przeczucie
Maryi pomknęło śladem odjeżdżającego Wacława
i niby ptak złowieszczy buja ponad głową młodego
wodza, i jak mówi Malczeski:

„A jednak głos straszliwy, choć spojrzenie du-
[mne,
Brzmi w całym jego ciele: „zdobędziesz ty tru-
[mnię!“

Jak zwykle w rzeczywistości i w sercu cierpią-
cego człowieka, smutne to przeczucie wzmaga się
coraz bardziej w duszy Wacława. Poeta zlekka
dotyka tej strasznej tajemnicy:

„Czy duch złego, co ludziom nadziei zazdrości,
Odczylił mu przez chwilę zasłone przyszłości?
Czy struny, natężone tkliwym władz wysnućciem,
Tknięte ręką nieszczęścia zabrzały przecu-
[ciem“.

Ale złowieszcze widmo coraz-to bardziej rozsze-
rza posępne swe skrzydła, a boleść dochodzi na-
koniec aż do tej ostrej, ostatecznej nuty, dla której
pieśń i łkanie znajduje poeta na własnym swem
sercu. Wsłuchajmy się w tę prawdziwą symfonię
cierpienia, w to Miserere, które geniusz Malce-
zeskiego stworzył i wypisał, jakby krwią i łzami.
Wsłuchajmy się a dosłyszemy może, z jakim-to
boleśnym jękiem to biedne serce poety każdą nutę
swej pieśni oblewa potokiem własnego płaczu:

„Jest trosków, kolców, bólów, niemało w tem życiu
I więcej niż na jawie, płynie łez w ukryciu;
A kto się hucznym śmiechem wśród jęków od-
[zywa,

Jak szalony w szpitalu, szczęsnym się nazywa.
Lecz gdy umysł, szlachetnej uległszy ponęci,
Z gruzów najdroższych uczuć wznosząc przed-
[sięwzięcie,

Brnie w zdradliwej ufności, a za każdym kro-
[kiem,
Podkopanych przepaści otoczon widokiem—
Gdy ptak z karmem pisklęcia trzepoce swe
[skrzydła,

Widzi chłopię z pałeczką, a na szponach sidła;
Gdy sroższej od najsroższych wpatrując się męce,
Sama nawet odwaga załamuje ręce,
A z tysiąca blizn czarnych, co jej w sercu ciąży,
Gniazdo syczących na świat wylega się węży;
Gdy złość w swoim szaleństwie zrobiła zabawę,
Wydrzeć życie w kaduku, ale pierwej sławę;
I nietylko obecność tarza się w ohłdzie—
Przyszłość jeszcze zatruta, rozczochrana idzie;
Komu? Anielskiej duszy, co za to przekłeta.
Że cukrem przyjmowała drapieżne zwierzęta—
Gdy każdy dobry przymiot w gorzki żal się
[zmienia:

Większe to niżli ziemskie,—piekielne cierpienia“.

Lecz oto nieprzyjaciel. Wobec tatarskich szyków
wszelka niepewność znika w duszy Wacława:
z podniesionym mieczem i sercem rzuca się w ich
tłumy.

Spotkanie się z wrogiem, bitwa, przybycie na
odsiecz, otoczonemu zewsząd Wacławowi, starego
Miecznika; jego natarcie, zwycięstwo: wszystko
to jest pojęte i wykonane z niesłychanym artyz-
mem myśli i słowa. Opis ten bitwy uderza jeszcze
tą rzeczywistością oddania, która o tyle różni
od tych powszednich opisów, które spotykamy
w romansach, a nawet w dziełach historycznych,
oile się różni bitwa prawdziwa od zmyślonej. Wi-
dać i czuć w tym pełnym prawdy i ognia obrazu,
że Malczeski był żołnierzem, że bywał w ogniu,
i że pisał pod wpływem własnych osobistych
wspomnień.

Po skończonej bitwie, po rozproszeniu Tatarów,
Miecznik sam pierwszy odzywa się do zasmuczone-
go zięcia i wyprawia Wacława, kędy go czeka:
„szczera żona i drużyna“. Z pospiechem Wacław
idzie za radą Miecznika; dosiada konia i leci do
żony, do kochanki raczej;—leci, chociaż straszego
przeczucia nie może wyrwać ze swej duszy:

„Do wrót wreszcie koń doparł swe piersi spie-
[nione“.

Tu się zaczyna ostatni akt dramatu i ostat-
nie rozlegają się strofy tej posępnej pieśni! Jak
Wacław w opuszczonym domu znajduje umarłą żo-
nę? jak przyjął i zrozumiał cały ogrom, całą rze-
czywistość tej straty? jak z troskliwością piastun-
ki, matki, raz ostatni posłanie jej ściele? jak w nim
powstała wreszcie:

„. ta ponurość dzika,
Co patrzy w jeden przedmiot, w trumnę przeciw-
[nika“.

tęgo ani rozbierać, ani opowiedzieć niepodobna.
Każdy tu wiersz jakby szczerze - złoty medal,
jest niesłychanej wartości, a moc wyrażenia ni-
gdzie nie ustępuje jego piękności. Musielibyśmy
wszystko przepisać, każdy wiersz, każde prawie
słowo powtórzyć, aby odkryć i wyświecić całą tę
piękność, którą Malczeski nazaczył ostatnie dźwię-
ki swej lutni.

A kiedy już wszystkie łzy wypłakał, wszystkie
najczulsze struny uczucia poruszył, zanim ostatni
kamień położył na grobie starego, niepokieszonego
ojca, co był po stracie Maryi, jak mówi poeta:

„Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, a zresztą je-
[dnaki“.

Znalazł jeszcze jakby ostatnią gałązkę piołunu
na bezludnym, dzikim stepie Ukrainy, i jej roztartą
goryczą zaprawił te słowa:

„Czyż ten bujny młodzieniec już ziemi ohyda?
Ah! pytaj raczej na co dobroć się tu przyda?
Gdzie co czułe, szlachetne tylko, chwilę świeci,
Gdzie zgon starych rodziców korzyścią ich dzieci,
Gdzie chlubna miłość bliźnich w udanej tkli-
[wości,

Cieszy się ich niedolą lub szczęścia zazdrości:
Gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda,
Bo w śliczny welon cnoty stroi się ofiuda,
Gdzie tylko jedna słodycz: w wzajemnym za-
[chwycie
Serc wiernych, niezgadnionych, zanurzyć swe
[życie“.

Ale to jest ostatni, gorzki uśmiech poety. Wraca
on znowu do swej natury, pełnej miłosierdzia i mi-
łości, i tam, na tym wiejskim, skromnym cmenta-
rze, zatrzymuje się przy trupie starego Miecznika,
którego znaleźli umarłego przy grobie córki i żony
i kończy swój poemat temi wierszami, w których
smutne, ale tak polskie uczucie, jakby wspomnienie
do grobu złożonej ojczyzny, odzywa się do serca
słuchaczy poraz ostatni rodzinną i serdeczną nutą:

„Taż sama w ustach słodycz, a w czole sędziwość,
Taż sama bladeść twarzy, lecz nie oczu żywość;
Czapka, wąsy,—to polskie straszdyło na wrogi,
I żupan ten sam czarny, tylko, że gdy trwogi
Odgłos z trąby wojennej dochodził daleki,
Nie porwał się do korda—już spał, spał na wieki!
I cicho, gdzie trzy groby w posępnej drużynie;
I pusto, smutno, tęskno w bujnej Ukrainie“.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 30 Września 1878 r.

(Dokończenie).

Jedzenie odbywa się wspólnie w wielkim refek-
tarzu, gustownie udekorowanym. Po śniadaniu
i obiedzie uczennice zbierają się na rozmowę albo
na muzykę. Dwie sale są na ten cel przeznaczone;
czasami odbywają się w nich tańce. Biblioteka,
należycie opatrzona w dzieła naukowej pomocy; jest
ciągle otwartą; są też tam dzienniki i przeglądy.
Oprócz tego uczennice uprawiają się w gimnasty-

kę, w rozmaite gry pod otwartym niebem, a niektóre wprawiają się w jazdę konną.

Dla słuchania kursów uczennice udają się do miasta do uniwersytetu, gdzie mają urządzone osobne dla siebie sale. Lekcje prywatne udzielane są w kolegiach, w salach odrębnych, na ten cel przeznaczonych w obudwu zakładach. Korrepetycje i studia przygotowawcze do lekcji uczennice odbywają w swoich własnych pokojach. W Girtonie każda uczennica ma mieszkanie z dwóch pokoi złożone, z sypialni i pracowni. Podług angielskiego zwyczaju pensyonarki używają zupełnej wolności osobistej, tej jednak nie nadużywają: i tak, mogą wychodzić w dzień kiedy się im podoba; powinny jedynie znajdować się w zakładzie w czasie śniadania i obiadu; wieczorem przecież żadnej uczennicy z pensjonatu wydalic się nie wolno.

Uczennice zaprowadziły same w ostatnich czasach zwyczaj publicznych rozpraw i mów w gronie osób należących do zakładu. Jest to coś podobnego do owych exercycy oratorskich, które się praktykują jeszcze pomiędzy uczniami wydziału prawnego.

Rozprawy, o których mówimy, odbywają się w pewnych odstępach czasu, a dzień ich jest postanowiony naprzód przynajmniej na dwa tygodnie. Przedmiot rozprawy w tym samym czasie obranym być powinien; ma on zwykle formę tezy. Rozprawiająca ściera się z urzędownie wyznaczonymi przeciwnikami; wolno przytem i tezę, stosownie do przekonania, poprzeć. Wyciągnięte na los uczennice mają tym sposobem dni piętnaście przed sobą do zgłębienia należytego przedmiotu i do uskutecznienia potrzebnej kwereudy w źródłach.

W dzień wyznaczony, kiedy już wybrane mówczynie *ex officio*, wypowiedzą, każda z kolei, swą mowę, (mowa nie może nigdy trwać dłużej nad pół godziny), rozpoczynają się zaraz rozprawy publiczne. We wszystkich tych rozprawach parlamentarne formy angielskie ściśle się zachowują. Przedmioty wyznaczone do rozpraw są polityczne albo socyalne, a ich ważność zmusza umysły do zastanowienia i rozważy. Po skończonych rozprawach, które zamyka prezydująca na posiedzeniu, zapada uchwała, której wypadek pokazuje jakie idee przemagają i panują wśród uczennic. Oprócz tych zgromadzeń ogólnych i powszechnych uczennice mają jeszcze pomiędzy sobą, dla prywatnej narady, kluby, których skład nie przechodzi nigdy liczby 5 lub 6 osób.

Są to może trochę dziwne i obce nam obyczaje; można też o nich sądzić jak się podoba: są one jednak wiernem odbiciem naszego czasu, a skoro dobrze urządzone i prowadzone rozumnie i sumiennie, dają owoce rzeczywistej, umysłowej wartości—zasługują też na poszanowanie. Zapewne, że to, co się udaje w Anglii, niekoniecznie może być zastosowane z pożytkiem gdzieindziej, i każdy naród ma swoje zwyczaje, narowy i dążności, i, jak powiada przysłowie: „Nie zrobią i w Paryżu z owsa ryżu“—jest to niezaprzeczone: ale jeśli w zasadzie jest pewna podstawa prawdy, to i w zastosowaniu zawsze się znajdzie, byleby je czyniono poważnie i z dobrą wiarą.

Zgromadzenie wysłuchało z wielkim zajęciem tych wiadomości, tak ze strony p. Gréarda jak ze strony delegowanego angielskiego. Widoczną było rzeczą, że ta kwestya, nie emancypacji, ale ukształcenia kobiet, zajmowała i zajmować będzie wyższe umysły wszędzie; potrzebą więc mieć nadzieję, że prędzej czy później znajdzie ona właściwą sobie drogę i dojdzie do celu, który jest jej głównym i prawdziwym założeniem, do tego mianowicie: że kobieta, zachowując w całej pełni to stanowisko, jakie jej wyznaczyła w społeczeństwie sama natura, ozdobi je i podniesie nabytkiem wiadomości i światła, do którego ma równe i niezaprzeczone prawo pospołu z całą ludzkością.

Rozpisałem się szeroko w tym przedmiocie, bo chciałem raz jeszcze pokazać czytelnikom moim jakie jest prawdziwe znaczenie Wystawy Powszechnej. Dotyka ona tak ważnych a wielostronnych przedmiotów, otwiera tak ważne, tak rozległe poglądy na ludzkość, że nietylko jest materyjalnych potrzeb przedstawicielką, ale jeszcze pobudza i porusza najwyższe i najpiękniejsze strony umysłu ludzkiego, wyzywając do wymiany tego wszyst-

kiego, cokolwiek posiada człowiek. Zetknięcie się tylu umysłów, tylu chęci, tylu dążeń, musi wydać tę iskrę, co zapala niewidome dotąd słońca w dziedzinie ducha. Jakiegokolwiek mogą być następstwa, jakiegokolwiek są drogi, po których skieruje się umysł ludzkości,—wymiana wspólna wszystkim musi przecież wytknąć czasem ten punkt, na którym spotykają się wszystkie narody, wprawdzie i w przeświadczeniu wzajemnym o wartości każdego. Dlatego—to wybrałem dziś ten przedmiot, bo ze skromnych ławek poczynającej szkółki municypalnej paryskiej prowadzi on mnie i was aż do tej wspaniałej i wyższej sfery, gdzie umysłowa potęga ludzkości wskazuje cel i przeznaczenie godne jedynie człowieka: oświatę i prawdę.

RUCH MUZYCZNY,

Nowe nuty i książki muzyczne.

- 1) Sonata na for. i skrzypce, Dresslera.— 2) Arabesque—Un moment de tristesse.—Ostatni wianek (śpiew), Em. Kania.— 3) Sama jedna (śpiew), W. Troszla.— 4) Spełnione marzenie (śpiew), K. Kratzera.— 5) Śpiewy Wienca: Śpiesz,—Gdybym się zmienił,—O mój aniele,—Róża,—Chanson d'Exil,—Pieszczotko.— 6) Śpiewy wydane nakładem Towarzystwa Muzycznego.— 7) Nowe utwory Zelenkiego.— 8) Sześć nowo-wydanych śpiewów Moniuszki.— 9) Krakowiaki Noskowskiego.— 10) M. Moszkowski.— 11) Śpiewy obce, u nas wydane.— 12) Kłosa z rodzinnej niwy; duety na fort i skrzypce (latwe) Adolfsa (Sonnenfelda).— 13) Klejnoty muzyczne (przez tegoż).— 14) Głos, ucho i muzyka Langela w przekładzie polskim.— 15) Das Pedal des Claviers, Hansa Schmidta.— 16) Elementarna teoria muzyki Artura Pietschmanna.— 17) Musikalische Gymnastik, Lessera.— 18) Le Piano à doubles claviers renversés, Zarębskiego.— 19) Musiciana, Weckerlina (tłumaczenie Sowińskiego).— 20) Studya dla śpiewania odległości muzycznych, Karola Studzińskiego.— 21) Nauka harmonii Zelenkiego i Roguskiego.

Długi ten szereg dzieł, krajowego po największej części wydania, pocieszająco świadczy o rozwijającym się u nas ruchu muzycznym, odpowiadającym (lubo jak słabe echo) obudzonemu ruchowi literackiemu. A znajdzie się tu zapewne rzecz niejedna, przez zapomnienie me lub niewiadomość niewymieniona. Nietracąc więc czasu na długie przedmowy, przystąpmy *ad rem*.

I) Rozpoczynamy od „Sonaty“ na skrzypce i fortepian, na której czele autor (pan Dressler) położył wielkie imię Moltkiego. Pan Dressler, Warszawianin, od dość dawna już mieszka w Berlinie, gdzie potrafił wyrobić sobie uznanie i świetne stosunki, w domu bowiem księcia żelaznego i jego przyjaciela v. Moltke, częstym bywa gościem.

Sonata ofiarowana Moltkiemu, nie nosi na sobie zbyt wojowniczego charakteru. Jest to utwór napisany przyzwoicie, dość jędrnie, bez zbytejnej jednak charakterystyki—słowem... *pokojowo*. Gdyby ta Sonata była odbiciem myśli dostojnego męża, którego godłem jest opatrzona, moglibyśmy rokować Europie erę długo-trwałego spokoju; szczególniej Andante nosi dość idylliczny charakter. Dziełu temu ze względu opracowania dość zajmującemu, zarzucić można brak tematów, jak i w ogóle brak śmiałości, stawiający ją w rzędzie *dobrych*, ale z rutyny nie wychodzących utworów.

II) *Arabesque*, przez Emanuela Kanię. Utwór napisany bez wyższych poetycznych pretensyj—wszakże zajmujący i nie banalny, bardzo może być poleconym jako bluetka salonowa dla średniej zdolności i siły uczniów. Szkoda, że ładna myśl: „Un poco agitato“ na str. 4, nie została obszerniej wyzyskana.

Un moment de tristesse, (tegoż autora) bardziej zwyczajne jako myśl, brzmi jednak sympatyczną melancholiczną nutą. Śpiew: *Ostatni Wianek*, ma modulację zbyt zwyczajną.

III) *Sama jedna*, Mazurek do słów Niemojewskiego, przez W. Troszla; udatny—ale za długi—może wszakże mieć powodzenie jako utwór koncertowy.

IV) *Spełnione marzenie*, Kratzera, ładnie wygląda gdy jest śpiewane przez p. Cieślowskiego, któremu jest ofiarowane. Kompozycje p. Kratzera są

wogóle proste, ale dobrze dla głosu pisane i *wdzięczne*.

V) Oryginalność i pewna doza dziwactwa, zdaje się być konieczną potrzebą dla twórczości p. Władysława Wienca, o którego utworach do śpiewu już parę razy pisaliśmy. Pod tą jednak sztuczną, niby Wagnerowską powłoką, kryją się niezawodnie szlachetne blaski, które niekiedy przebijają lodową skorupę fałszywej uczoności i jaśnieją prawie jak perły. Taką perłą w utworach pana Wienca jest niezaprzeczenie śpiew: „Viens“, nader sympatyczny i rzewny. Jest on dla głosu tenorowego bardzo wdzięczny. W utworze: „Gdybym się zmienił“, temat z początku jest dość jasny, potem gubi się brzydko w tonacji *B moll*, na niskiej nucie,—jak rzeka w piasku! Pan Wieniec moduluje często fałszywie i przeciw zasadom harmonii, czego przykład mamy parę razy we wspomnianej pieśni, a także w „O mój aniele“, utworze słabym zresztą pod względem inwencji. „Róża“ mimo szeregów dziwacznych, jest niezła. „Chanson d'Exil“ bardzo... niesmaczna (przepraszam za otwartość). Za to w „Pieszczotce“ odznacza się wyrobiona i zgrabna forma,—i lubo pieśń ta, jak wiele innych tegoż autora, zatracą wagneryzmem, wszakże tego wagneryzmu jest tu w miarę, i kompozycję śmiało można nazwać udatną.

VI) Towarzystwo Muzyczne w roku zeszłym przeznaczyło do wydania swym nakładem następujące utwory:

- a) Śpiewnik Ign. Krzyżanowskiego,
- b) Lubi, śpiew, J. Kleczyńskiego,
- c) Kilka utworów fortepianowych Ign. Krzyżanowskiego,
- d) Andante con Variazioni, Kleczyńskiego, i
- e) Czteroręczny układ legendy o „Twardowskim“, Münchheimera.

Dotąd wyszło na widok publiczny *Lubi*, oraz 4 pieśni ze Śpiewnika Jgn. Krzyżanowskiego, z którego „Szumi w gaju brzezina“ odznacza się wdzięcznym pomysłem, trzymanym w stylu ludowym i z gracyą z teje samej myśli snującym coraz nowe odmiany. Druga część, choć może mniej udatna, nie psuje pięknej całości.

„Siwy koniu“, jest to dumka *g moll*, odznaczająca się wielką, rzekłbym, zbytnią prostotą—początkowa myśl, mogłaby o ile mi się zdaje, z korzyścią być ozdobiona cokolwiek misterniejszą harmonią.

„Nie będę cię rwała“, utwór pełen życia, jest niezawodnie najlepszym z czterech. Natchnienie twórcze jest tajemnicą, której źródle dociec niepodobna, i nieraz sam autor, nie potrafiłby może na zimno objaśnić nam genyzy swych utworów. Mimo to, skoro one raz już są na świat wydane, stają się przedmiotem krytyki, studyów, nieraz nader ciekawych. Takim studyum jest np. porównanie dwóch zupełnie różnych punktów zapatrywania się, z jakich te same słowa El...ego rozważali panowie: Zarzycki i Krzyżanowski. W pieśni Zarzyckiego widnieje tylko żartobliwy humor—gdy tymczasem pan Krzyżanowski stworzył dramcik cały. Nie wiem czy racjonalny sąd estetyczny potrafi określić, które zapatrywanie się jest słusznem: my tylko widzimy, że mamy do tych samych słów napisane dwa utwory, zupełnie różne duchem i charakterem—a jednak każdy w *swoim rodzaju*, i w *swój sposób* bardzo ładny. Jest to tylko jakby różne oświetlenie dane jednemu przedmiotowi: pierwsze powierzchowne—zewewnętrzne, lżejsze ale delikatne; drugie głębsze—wewnętrzne, dające więcej światła, ale i więcej cienia.

„Bodaj owa rzeczka“, smętne—nie dość silne jak na rzecz zaczynającą się od „bodaj“!

VII) Pan Władysław Zelenki obdarzył nas kilkoma nowymi śpiewami, odznaczającymi się jak zawsze, misterną robotą, a niekiedy i silnem uczuciem. Do ostatnich należy niezaprzeczenie piękna pieśń „Sen“, do słów Mickiewicza. Artysta tu naprzód bardzo zręcznie owaładną formą trudnego wiersza Mickiewicza; powtóre, nadał mużycę stosowną głębokość i powagę, oraz smętną śpiewność, niezmiernie sympatycznie przenikającą cały utwór.

Jeszcze może piękniejsza jest pieśń: „Tęsknota za zimą“, do słów Kościelskiego—głębokość i oryginalność harmonii, są tu szczególnie odznaczającymi się przymiotami, a także nastrój prawdziwie elegijny. Nierównie mniej dla mnie mają oroku

„Pytania“, lubo i tu wiele szczegółów pięknych (jak potrójny kanon na str. 4), ale całość już bardziej sztuczna i pretensjonalna; prawda, że i dziwnie niesmaczne miejscami słowa, z trudnością do jasnego i potoczystego rozwinięcia myśli posłużyć mogły. „Dzieje serca“ i „Wieje wietrzyk na polu“, utwory drobniejszego rozmiarem i nastrojem; wychodzą wszakże poza szranki konwencyonalizmu, którego, ze szlachetną wstydlivością, zawsze p. Żeleński unika. Podstawą twórczości pana Żeleńskiego zdają się być: z jednej strony misterna sztuczność (czasem i przesadzona), z drugiej głębokość. Rysunek, niezawsze jednakowo jasny i prosty, opiera się na wyborze *harmonii*, do której p. Żeleński ma prawdziwie *twórczą* zdolność. Godnemi uznania są dwa utwory p. Żeleńskiego na fortepian i skrzypce, ofiarowane Władysławowi Górskiemu. „Romans“ jest pełen elegijnego nastroju, w rodzaju pieśni „Sen“; na tle falującego akkompianimentu, płynnie prawdziwie *andante spianato*, pełne szlachetnego spokoju, a niekiedy silnej namiętności. „Danse fantastique“ bardziej już jest kunsztowne, i tak z tego powodu, jak z powodu niewdzięcznej dla instrumentu tonacji *h dur*, z pewnością popularnem nie będzie.

VIII) I oto znów Moniuszko z zagrobu przysłała nam nowych sześć pieśni, wydanych w Poznaniu u Zupańskiego. Nie wszystkie one równie piękne, ale godne były druku, a dwie z nich są wspaniałe. Pierwszą jest Nr 3. „Modlitwa“, na głos basowy, do słów E. Wasilewskiego. Drugą jest pełna ognia „Utarczka“ do słów Zglińskiego.

IX) Przystępujemy teraz do kompozytorki, która już nie małego doznała rozgłosu, za sprawą niektórych organów naszej prasy, aprobacją Liszta i t. d., a która przecież, obawiam się, długo i może właśnie z tego powodu narażoną będzie na bardzo sprzeczne sądy. Mówię tu o świeżo wyszłych z druku „Krakowiakach“ pana Zygmunta Noskowskiego. Kompozycje te z pewnością niepoślednie, i, jako dzieło młodego twórcy, zasługujące na uznanie, jakiego podobno autorowi Liszt nie odmówił. Atoli niezręczna pochwała jednego z pism, które upatrywało w tych „Krakowiakach“ dowód tak wybitnie narodowej twórczości, jaką Szopen wlał w swe „Mazurki“, zmusza nas właśnie do wręcz przeciwnego oświadczenia, a mianowicie, że jakkolwiek niektóre z tych urywków są bardzo piękne, opracowane starannie;—wszakże sądzę, że tańcami narodowymi nie są, i z pewnością raczej można je nazwać Schumanowskiemi novelletami. Oprócz tego braku *narodowej* prostoty i charakterystyki, można tam niejedno dopatrzeć, co z „estetyczną“ znów prostotą pogodzić się nie da. Są tam zwroty tak dalece niespodziewane, że je raczej za chęć błyszczenia, za kaprysy zbyt niezależnej fantazyi począć można, niżeli za natchnione ludowe wspomnienia. W „Krakowiaku“ VI zwłaszcza, *f moll*, posunął autor tę excentryczność aż do zwrotów, zupełnie fałszywie brzmiących dla ucha; równie dziwaczne szczegóły znajdujemy i przy końcu III-go „Krakowiaka“. W pierwszym zeszytce najpiękniejszym jest „Krakowiak“ II-gi, pełen ognia i największej zacięcia polskiego mający. W drugim zeszytce początek „Krakowiaka“ I-go (V-go) przedstawia nam temat dziwnej szlachetności i prostoty, tak cudny, że mało równie pięknych spotkać można w literaturze muzycznej. Bardzo pięknym jest jeszcze Nr 3-ci (VII-go całego zbioru). „Epilog“ trochę zagmatwany i namiętny, nie już prawie krakowskiego w sobie nie ma. W każdym razie, dostrzegając w „Krakowiakach“ niezawodne błyski geniuszu, życzymy autorowi, aby w dalszych swych utworach był bardziej sobą i nie gonił za przesadną już oryginalnością.

X) Im bliżej się zapoznaje z utworami młodego p. Moszkowskiego (o którym już tu niedawno pisa-

łem), tembardziej wzbudza we mnie zaufania ten niepospolity talent. Jest to właśnie wśród ogólnej choroby nienaturalności, — jakby wyjątkowo zdrowy człowiek; znać po jego utworach, których pisze wiele, że mu nie idzie o przesadną oryginalność, ani wogóle o jakiś poklask uczonego świata, — ale ulega on tylko prostej potrzebie *wypisania się*; pisze—bo musi—bo ma pełno pomysłów, które mu czaszkę rozsadzają. To też nie jest on zawsze, powiedzmy raczej, nie jest *jeszcze* zupełnie oryginalnym—znać w nim nieprzepracowane jeszcze wrażenia studyów, znać wpływ tych geniuszów, z którymi przebywał, a mimo to wszystko, ile tam świeżości, siły, śmiałości! Po udatnych jego walcach czteroręcznych (op. 8) (z których drugi np. tak poetyczny) nastąpiły tańce hiszpańskie (op. 12), których pierwszy zeszyt nadewszystko pełen jest świeżości; nastąpiły 3 charakterystyczne tańce: Ungarischer Tanz, Polonaise, Walzer (op. 11), z których dwa drugie prześliznęły, a szczególnie Polonez odznacza się śmiałością i szlachetnością niepospolitą. Trzy tańce na sam fortepian, mianowicie: Polonez, Menuet i Walc (op. 17) świadczą także o pięknej pomysłowości autora, szczególnie w Walcu figury są prześliznęły, eleganckie i nade-wszystko zupełnie nowe. Ale najciekawszymi z dotąd przezemnie poznanych utworów są bez zaprzeczenia: Ballada i Bolero na skrzypce i fortepian (op. 16). W Balladzie jeden motyw jest najzu-chwalej *wzięty* z Wagnera — cała zresztą ona kipi wagneryzmem, ale są w niej pomysły prawdziwie genialne — tok myśli znakomity, stanowczy i szlachetnie rwący się ku wyżynom. Sztuka ta szalenie trudna z powodu Bóg wie jakich tonacji powinna by zachęcić kogo z wielkich mistrzów do przestudyowania jej—bo ta rzecz dobrze zagrana może sprawić olbrzymie wrażenie. *Bolero* może być bardziej popularne, bo, lubo nie łatwe, jest jednak odrazu zrozumiałem i pełnem blasku i ognia.

XI) Ze śpiewów obcych, przyswojonych naszej publiczności przez dodanie textu polskiego, można by złożyć przepyszne album—tyle ich corok wychodzi staraniem głównie pp. Hösicka i Sennewalda. Wymienimy niektóre nowsze: *Rubinstein*, Azra (w przekładzie: Selim i Fatyma), *Gounod*, Biondina (Jasnowłosa), *Masséni Chante Madeleine*, *Guirand Piccolino*, *Gounod* „Ce que je suis sans toi“ etc. Pan Hösick powziął nadto myśl szczęśliwą wydania zbioru duecików salonowych na głosy żeńskie lub mieszane—wybór, jak dotąd, jest dobry, mamy nadzieję, że będzie on wkrótce przyzodobiony niektórymi duecikami klasycznymi (np. z oper Mozarta, duecik Mělhula z „Joseph“ etc.), co wartość tego działu znakomicie-by podniosło. Do zbioru zaś pojedynczych śpiewów chciałbym polecić niektóre, a mianowicie:

- a) Padre Martini: Hymne d'avril.
- b) R. Wagner: „Dors mon enfant“ śliczny romans.
- c) Meyerbeer: Chant de Mai.
- d) Portharst: „La mer se plaint toujours“
- e) Dessauer: Ouvrez.
- f) Gordigiani: Ah! non lasciarmi.
- g) Liszt: Mignon.
- h) Gounod: „Pieśń wiosenna“ (jeżeli już nie była wydana).
- i) Mattei: „Amo“ etc. etc.

XII) Przyklasnąć też musimy myśli nader szczęśliwej wydawania w łatwych układzie bardziej znanych swojskich melodji, przez co młodzi adepci sztuki mogą od dzieciństwa już chłonać pokarm dla ich dusz zdrowy i sympatyczny. Już poprzednio uzynionym został początek przez układy czteroręczne p. Adolfa. Obecnie p. Adolfson (w którym domyślamy się tegoż samego autora), daje nam seryę z dwunastu numerów podobnych, ułożonych na skrzypce i fortepian: znajdujemy więc tu i Polo-

neza Moniuszki i Mazurka Szopena i „Gwiazdeczkę co błyszczała“ i „Kozaka“ i „tam na błoni“ etc. Większa część tych utworów są tylko prostym przepisaniem tematu i te są najszcześliwsze; mniej dobre są fantazyje— lubo i tym nie można odmówić użyteczności w praktyce, są bowiem niedługie, trzymane są najczęściej w pierwszej i trzeciej pozycji, w tonacjach przystępnych i napełnione warjacyjkami i passażami, przy nauce nader potrzebnymi.

XIII) Tegoż niewyczerpanego pracownika znamy w ozdobnym wydaniu szeregu osobnych albumików z melodyami, już zupełnie łatwo ułożonemi, na sam fortepian. Melodye swojskie są tu już przeplatane obcemi. Nowe to wydawnictwo nosi tytuł: *Klejnoty muzyczne*.

Zjawienie się tego rodzaju utworów, i to w tak wielkiej odrazu liczbie, jest bardzo znaczące; jakkolwiek bowiem z jednej strony świadczy o do-brych chęciach autora i wydawcy, tak z drugiej każe się domyślać, że obaj, poprzednio uczynionem doświadczeniem już zachęceni, pragną dla dobra ogółu (a daj Boże, i własnego zysku) korzystać z dostrzeżonego właśnie dobrego w tym kierunku usposobienia kupującej publiczności, aby podać jej przedmiot dla niej sympatyczny. Mijemy nadzieję, że publiczność zaufania w niej położonego nie zawiedzie, i zechce poprzeć to wydawnictwo, równie pożyteczne jak miłe dla młodego pokolenia.

Teraz przejdźmy do oceny kilku książek, które, jakkolwiek nie wszystkie wydane są bardzo świeżo, wszakże nie sięgają więcej niż lat kilku, niektóre zaś potrzebowały pewnego przestudyowania, aby się z lekkomyślną recenzją na razie nie *poszkapacić*...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Agentury księgarskie

znaczniejsze na prowincyi

otrzymały w komis dzieła:

REICH Dr: Studya nad kobietą

przekład St. Kramsztyka

Warszawa 1878 roku, Rub. rs. 1 kop. 80.

MURAY GRENVILLE: Wdowa czy mężatka?

powieść

przełożona przez Maryę Kostrowicką

Warszawa 1877 r. kop. 60.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się arkusz 9-ty powieści pod tytułem: *Kłamecy*.

TREŚĆ. Z dni smutku, (poezya), przez Maryę Konopnicką. — Dom dla kobiet w Nowym-Yorku, przez Maryę Ilnicką. — Meleszkowie, powieść, (dalszy ciąg), przez Zbigniewa. — Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego. — Antoni Malczeski, (Zarys biograficzno-literacki), (dalszy ciąg), przez Wł. Chodzkiewicza. — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego.